

SPOTKANIE DILERA NARKOTYKOWEGO Z JEZUSEM

W marcu 2012 roku, na jednej z ulic pewnego miasta, policja wraz z oddziałem antyterrorystów zatrzymała 42-letniego mężczyznę, którego wyciągnęli z samochodu, skuli kajdankami. W aucie znaleziono dużą ilość narkotyków. Tym mężczyzną byłem ja. Pomyślałem wtedy: wreszcie się skończyło i poczułem ulgę. Teraz WIEM, że to Bóg w tak drastyczny sposób wyciągnął rękę i zatrzymał mnie w drodze ku zagładzie, zatrzymał proces samozniszczenia, który uruchowiłem w momencie podjęcia decyzji o przystąpieniu do grupy ludzi, którzy sprzedawali innym ludziom narkotyki.

Wyrzuty sumienia i poczucie, że robię coś strasznie niedobrego towarzyszyły mi od pierwszego do ostatniego dnia dilerki. Moje sumienie, choć tłumione przez potężne dawki narkotyków, które zażywałem wraz ze środkami psychotropowymi, nie dawało mi spokoju. Porzuciłem Rodzinę, wyprowadziłem się z domu, moje życie straciło sens, nie miało celu. Oficjalnym powodem odejścia była moja zdrada małżeńska, którą popełniłem z dziewczyną uzależnioną od prochów. Żona, choć podejrzewała, że dzieje się coś niedobrego, nie miała pojęcia, w co się wpakowałem, choć tyle ze mną przeszła. Mój alkoholizm w fazie czynnej zrujnował mi w przeszłości karierę zawodową, wtrącił do więzienia na 4 długie lata za spowodowanie wypadku drogowego z tragicznym skutkiem. W tych wszystkich trudnych chwilach moja żona była przy mnie, bo mnie kochała miłością bezwarunkową. Teraz widzę w tym działanie naszego Pana. On pokazywał mi, że nawet niedoskonały i grzeszny człowiek ma zdolność takiego kochania. A ja uparcie odrzucałem miłość, miłość zarówno człowieka jak i Boga. Przystałem wierzyć, że Bóg może mnie kochać. Tyle razy się do Niego modliłem, aby zabrał moje nałogi – bezskutecznie. Nadal popełniałem te same błędy, te same grzechy. Straciłem wiarę, później straciłem



nadzieję, a na koniec straciłem miłość. Takiej okazji zły duch nie mógł przepuścić.

Podczas pobytu w więzieniu spróbowałem narkotyków. Często powtarzałem sobie: diabłu rękę podam, a nie będę pił. No i mi podał kolejne uzależnienie i jeszcze wmówił, że to lepsze od alkoholu, bo film się nie urywa, bo nie tracę panowania nad sobą, no i ogólnie – same plusy. A to były kłamstwa, same kłamstwa. Ale teraz dopiero to dostrzegam, bo wyszedłem z ciemności. A dzięki niezasłużonej łasce, Pan uczy mnie stawiania w Prawdzie. Wtedy byłem ślepy i głuchy. W tamtym czasie byłem we władzy diabła, myślałem pod jego dyktando, działałem pod jego dyktando. Byłem beużytecznym naczyniem, które nadawało się – myśląc po ludzku – tylko do śmietnika. Lecz Jezus myślał inaczej. Mówił do mnie z głębi duszy, wołał poprzez moje sumienie, wołał z tego ostatniego miejsca, którego zły jeszcze nie opłonił do końca. W momentach, gdy słyszałem Jego wołanie, miałem uczucie rozerwania, rozdarcia na strzępy. Stawałem w środku nocy w lesie i byłem jak zwierzę, krzyczałem z bólu wewnętrznego lub pędziłem samochodem z myślą: walnę w to drzewo i skończę z tym wszystkim. Gdy podjąłem taką właśnie decyzję i że łzami w oczach rozpędzałem auto, wtedy dostałem sms od żony, zupełnie bez powodu, bo nie mieszkaliśmy razem i zerwaliśmy kontakt. Do dziś pamiętam jego treść: *Hej, jak się trzymasz?* Stałem, rozplakałem się i żyłem dalej. Bóg zadziałał i chwala Mu za to.

Ale wróćmy do roku 2012, do Roku Wiary. Dzień po aresztowaniu, dopadła mnie rozpacz. Wprawdzie coś złego się skończyło, ale przyszedł strach: co dalej? Do tego doszedł głód narkotykowy. Czuję się strasznie, na tyle źle, że lekarz przepisał mi środki na uspokojenie, co w aresztach jest rzadkością. Przeczynałem, że wolności długo nie doświadczę: zdawałem

sobie sprawę, jak w naszym kraju długo toczą się śledztwa, a jeszcze wiedziałem, że nie tylko mnie aresztowano. Na dodatek zły duch podsunął mi myśl o samobójstwie, przekonywał, że to jedyne rozwiązanie, że nie mam w życiu już nic do zrobienia. Prawie mnie przekonał i myślałem, jak i kiedy to zrobię.

W celi zapragnąłem uwolnić się na jakiś czas od tych natrętnych myśli i od rozpamiętywania o tym, co się stało, i co się może stać. Poszedłem do wychowawcy więziennego i zapytałem, czy ma jakieś książki, bo chciałbym się czymś zająć. I wydarzyło się coś, co z perspektywy czasu uznaję za wkroczenie Pana Jezusa w moje życie, co uważam za pierwszy krok na drodze nawrócenia. Jedyłą książką, jaką dysponował officer służby więziennej, był „Dzienniczek” Siostry Faustyny! Wziąłem i zacząłem czytać. Miałem mgliste pojęcie, o czym jest ta książka. Kojarzył mi się film o Siostrze Faustynie Kowalskiej, która wierzyła, że rozmawia z Bogiem. Czytałem bez zrozumienia, bo w głowie kłębiły się setki myśli dotyczących spraw bieżących. W miarę czytania zacząłem uświadamiać sobie, że Pan daje nam, grzesznikom, dar, o którym mało wiedziałem: SWOJE MIŁOSIĘRDZIE, że Jego miłosierdzie jest większe niż nasza ludzka sprawiedliwość. Ta wiadomość, to przesłanie stało się dla mnie w tym momencie najważniejsze, było jak tratwa ratunkowa dla rozbitka, było niczym łyk powietrza dla tonącego. Przywracało to, co straciłem, czyli nadzieję i wiarę. Na miłość musiał przyjść czas. Zrozumiałem, że nie mam nic do stracenia, a wiele do zyskania. Postanowiłem spróbować zaufać Bożemu Miłosierdziu.

Wtedy podjąłem decyzję, że przyjmę ofertę prokuratora i będę zeznawał. Zdawałem sobie sprawę, że to może być niebezpieczne ze względu na ewentualną zemstę środowiska, ale wiedziałem również, że tylko tak zerwę wszystkie złe kontakty, że tylko w ten sposób

dam sobie szansę na nowe życie po opuszczeniu murów więzienia. Był okres Wielkiego Postu, po celach chodzili kapelani, proponując sakrament pokuty i pojednania. Choć nie byłem do końca przekonany, że to już czas, abym do niego przystąpił – zgłosiłem się. Od wielu lat się nie spowiadałem, bo uważałem to za rzecz niepotrzebną. Z celi zabrano innych osadzonych. Zostałem sam na sam z księdzem Pawłem, w półmroku zacząłem zrzucać kamienie z serca, najpierw spokojnie, później ze łzami i szlochaniem. A kapłan nic nie mówił tylko trzymał mnie za rękę. Na koniec powiedział: *Macieju, ciesz się, bo otrzymałeś wielką łaskę*. Udzielił mi rozgrzeszenia i podarował mi mały drewniany krzyż wykonany przez jednego z więźniów. Nie miałem pojęcia, z czego miałbym się cieszyć ani jaka to łaska – dopiero po latach zrozumiałem, że to łaska nowego życia w Jezusie Chrystusie. Krzyż ten mam do dziś i patrzę na niego, gdy jest mi ciężko. On mi przypomina, gdzie byłem wtedy, a gdzie jestem teraz dzięki tej łasce, dzięki wierze i dzięki Jego miłości oraz słowom: JEZU, UFAM TOBIE.

Po spowiedzi chciało mi się płakać i śmiać, i to robiłem, choć inni patrzyli na mnie stukając się w czoło. W niedzielę zapisałem się do uczestnictwa we Mszy Świętej. Działy się dziwne po ludzku rzeczy. Zbliżała się wyznaczona godzina, a kraty się nie otwierały. Wezwałem strażnika. On mi mówi, że ponieważ nikt, oprócz mnie, się nie zgłosił, to nie będzie mnie prowadził do kaplicy, chyba że kapłan zechce i po mnie przyjdzie. Ale JEZUS posłał swojego kapłana po mnie i przyprowadził skruszonego grzesznika przed swoje oblicze. W kaplicy był ON w dużym obrazie Jezusa Miłosiernego, kapłan i ja. Ja patrzący poprzez łyż w Jego oczy, czułem to spojrzenie pełne miłości, radości i smutku, że tyle musiałem wycierpieć, aby zrozumieć. Był niczym miłosierny Ojciec, przytulający syna marnotrawnego. Od tego momentu zaczęło się moje nawrócenie, które trwa dzień po dniu do dziś. Parę dni później, ko mojemu ogromnemu zdziwieniu odwiedziła mnie Żona. Przytuliła i wlała w serce nadzieję na odzyskanie Rodziny, dostrzegając możliwość wybaczenia mi kłamstw i zrad (...).

Maciej

Pełny tekst na stronie: www.faustyna.pl, 8 października 2016.